



Ataki na IPN to zamach na naszą pamięć zbiorową

Z Antonim Dudkiem, doradcą prezesa Instytutu Pamięci Narodowej, rozmawia Paweł Paliwoda

Każdemu narodowi, który w swojej historii miał okres rządów dyktatorskich, potrzebna jest instytucja, która o tamtych czasach będzie społeczeństwu przypominać.

P.P.: LiD jest zwolennikiem likwidacji IPN. Grzegorz Napieralski z SLD powiedział niedawno, że "materiały IPN są w okresach przesileni wykorzystywane do niecnych celów".

A.D.: Powyższy zarzut pojawia się od lat. Rzekome "wycieki" z IPN to z reguły efekt zgodnej z prawem procedury udostępniania obywatelom materiałów. IPN powołano bowiem do udostępniania materiałów bezpieki, a nie do ich ukrywania. Ataki zwykle budzi moment, w którym media publikują takie materiały. Powstaje wówczas pytanie, skąd się one wzięły właśnie teraz? Często okazuje się, że były udostępnione przez IPN znacznie wcześniej, ale ci, którzy je otrzymali, z różnych powodów zwlekali z poinformowaniem o nich. Tak było np. z materiałami na temat Ryszarda Kapuścińskiego. Nie mogą oczywiście wykluczyć jednostkowych nadużyć w procesie udostępniania, ale zarzuty pod naszym adresem, że działamy na zlecenie polityków, są zwykłym oszczerstwem.

Jednak głosy niezadowolenia podnoszą się z reguły z kręgów lewicowych? Czyżby IPN faworyzował prawicę?

Byliśmy atakowani z najróżniejszych stron – także przez skrajną prawicę. Przypomnę sprawę abp. Wielgusa i ataki na nas ze strony Radia Maryja. Archiwa IPN zawierają jednak głównie materiały dotyczące okresu PRL. Nic zatem dziwnego, że najbardziej szkodzą one wizerunkowi lewicy postkomunistycznej. W ich przypadku nie chodzi bowiem o poszczególne osoby, ale o korzenie całej formacji i jej tożsamość.

Jeszcze ostrzejsze ataki na IPN formułuje od lat środowisko "Gazety Wyborczej".

Tworzące ją środowisko od początku przejawiało skłonność do narzucania innym własnego obrazu świata, w czym ważną rolę odgrywała jednostronna interpretacja historii ostatnich dziesięcioleci. I nagle powstała instytucja o dużych możliwościach badawczych, dysponująca nie tylko archiwum o kapitalnym znaczeniu dla dziejów najnowszych Polski, ale i środkami pozwalającymi na upowszechnianie wyników badań. To wywołało frontalny atak ze strony "Gazety", której redaktorzy konsekwentnie ignorują fakt, że IPN jest pluralistyczny wewnętrznie, a zatrudnieni w nim historycy reprezentują różne poglądy. Odzwierciedlenie tych różnic jest widoczne chociażby na łamach wydawanych przez nas pism, takich jak "Biuletyn IPN" czy "Pamięć i Sprawiedliwość". Pośrednio potwierdziła to ostatnio nawet "Polityka", która w atakach na Instytut nie ustępuje w niczym "Gazecie Wyborczej", a jednak przyznała ostatnio dwie swoje nagrody historyczne naukowcom pracującym w IPN. Jednak w przypadku "GW" mamy do czynienia z jeszcze jednym czynnikiem – graniczącą z obsesją wrogością Adama Michnika wobec materiałów dawnej SB i ludzi, którzy dziś po nie sięgają. To jednak zagadnienie bardziej dla psychologa niż dla historyka.

Jaką historię chce pisać Adam Michnik?

Opozycja zaczyna się w niej w roku 1956. Całe podziemie niepodległościowe, partyzantka powojenna to niepoważni fantaści. Poważna opozycja zaczyna się od rewizjonistów partyjnych – od Kołakowskiego, Brusa, Baczki i innych, którzy odchodzili powoli od ideologii komunistycznej. Ich wychowankowie mieli stworzyć KOR, który mimo kłód rzucanych mu pod nogi przez inne ugrupowania opozycyjne oraz wrogów wewnętrznych – w rodzaju Antoniego Macierewicza – doprowadził do powstania "Solidarności". W jej obrębie grupa korowska zmagająca się z "prawdziwkami", czyli najróżniejszymi nacjonalistami, klerykałami, antysemitami, skutecznie prowadząc jednak opozycję przez całe lata 80. Zwieńczeniem tej wersji historii najnowszej był Okrągły Stół, przy którym ludzie z tzw. konstruktywnej opozycji spotkali się

z reformatorami z PZPR i wspólnie zdemontowali system komunistyczny, co – jak napisał w jednym z artykułów Michnik – było cudem.

Co w materiałach IPN najbardziej jest solą w oku Adama Michnika?

Po pierwsze, okazuje się, że rozmiary antykomunistycznego oporu w drugiej połowie lat 40. były nieporównywalne z niczym, aż do momentu powstania "Solidarności". Opozycja lat 70. była małą grupą w porównaniu z partyzantką powojenną. IPN wydał właśnie książkę, która ilustruje skalę tego zjawiska, o którym środowisko Adama Michnika mówiło zawsze tak niechętnie i z lekceważeniem. To "Atlas polskiego podziemia niepodległościowego 1944–1956" – dzieło kilkuletniej pracy pięćdziesięciu historyków z IPN i innych ośrodków naukowych.

Po drugie, nieprawdą jest, że po roku 1956 mieliśmy do czynienia głównie z opozycją wywodzącą się z ruchu rewizjonistycznego w PZPR. Równie silny był nurt niepodległościowy nawiązujący do tradycji II RP oraz podziemia z lat wojny. Najbardziej znana jest organizacja "Ruch" Czumy i Niesiołowskiego, ale takich organizacji było więcej. Istniały one przez całe lata 60. i 70., a stopniowe przywracanie pamięci o ich istnieniu powoduje, że na dzieje opozycji w PRL patrzemy dziś w sposób bardziej wyważony.

Po trzecie wreszcie – i to właśnie budzi największe emocje – otwarcie archiwów IPN sprawiło, że postawione zostało pytanie o poziom infiltracji środowisk opozycyjnych przez SB. Już samo postawienie takiego pytania, oczywiście z naukowego punktu widzenia, zostało odebrane jako skandaliczna próba pomniejszenia zasług opozycjonistów. Nie podzielałam wyrażanej niekiedy opinii, że większość działań opozycyjnych w PRL była sterowana przez bezpiekę, ale nie uważam też, by sprawa ta nie wymagała gruntownej analizy, która dopiero się rozpoczyna, a skończy w bliżej nieokreślonej przyszłości, gdy uda nam się dotrzeć do archiwów sowieckich służb specjalnych. Przypomnę tu przypadek jednego z przywódców opozycji lat 70., który w zbyt dużym stopniu dzielił się swą wiedzą z narzeczoną, ta zaś okazała się agentką bezpieki. Kiedy historyk z IPN opisał tę historię, spotkał się ze zmasowanym atakiem ze strony "GW".

Do czego w Polsce A.D. 2008 potrzebny jest IPN?

Każdemu narodowi, który w swojej historii miał okres rządów dyktatorskich, potrzebna jest instytucja, która o tamtych czasach będzie społeczeństwu przypominać. Musimy wiedzieć, jak dyktatura działała, jakie mechanizmy nią rządziły, kto był wówczas oprawcą, a kto ofiarą. Jest to nie tylko kwestia zadośćuczynienia dla ofiar, ale także forma wychowania do demokracji, w którym istotną rolę odgrywa ostrzeżenie przed totalitaryzmem. Pierwszym momentem, w którym pojawia się możliwość powrotu do dyktatury, jest chwila zapomnienia i konstatacja: "To już było, to nigdy nie wróci, po co nam wiedza na ten temat?". To błąd fundamentalny. W wychowaniu obywatelskim pojęciami o podstawowym znaczeniu są także suwerenność i niepodległość kraju, a PRL nie odznaczała się żadną z tych cech, o czym przypomina wiele działań edukacyjnych Instytutu.

Właśnie to, o czym pan teraz mówi, niektórzy nazywają grzebaniem się w przeszłości i jątzeniem.

Niektórym różne rzeczy się nie podobają. Jeżeli z okazji Święta Wojska Polskiego czytam w "Gazecie Wyborczej" tekst, w którym patriotyzm porównuje się do rasizmu, to myślę, że poważna dyskusja na temat historii przestaje być możliwa. Takie rzeczy mogłyby się ukazywać w niszowych piśmiennictwach, a nie w ogólnopolskim medium. To jest forma nihilizmu, która uniemożliwia świadome wychowanie obywatelskie i niszczy pamięć zbiorową. Takie postawy powinny być piętnowane.

Jak ocenia pan obecne warunki działania IPN?

Po wycofaniu się nowego rządu z planów drastycznej redukcji budżetu IPN sytuacja wygląda bardziej optymistycznie, choć nie mam złudzeń, że ataki na nas będą kontynuowane. Nie jest też jasna przyszłość pionu śledczego i lustracyjnego IPN. Trwają prace nad reformą prokuratury, które mogą doprowadzić do likwidacji Komisji Ścigania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu lub jej wyłączenia ze struktur IPN. Trzeba jednak pamiętać, że zasadniczy problem związany z prawnym rozliczeniem zbrodni okresu PRL nie polega na tym, gdzie będą formalnie pracowali zajmujący się nimi prokuratorzy, ale czy będą to dalej robić, a zwłaszcza, jak do efektów ich pracy będą podchodzić sądy. W tym kontekście chciałbym przypomnieć, że przygotowany przez prokuratorów z IPN akt oskarżenia przeciw Wojciechowi Jaruzelskiemu i innym autorom stanu wojennego jest od kwietnia ubiegłego roku przerzucany z sądu do sądu i żaden z nich nie ma ochoty rozpocząć procesu. Pamiętać jednak należy, że trzon IPN stanowi archiwum, w którym pracuje około połowy wszystkich osób zatrudnionych w Instytucie, oraz Biuro Edukacji Publicznej. To w tym ostatnim pracują historycy badający materiały archiwalne, a także organizatorzy wystaw, redaktorzy książek i czasopism oraz ludzie zajmujący się szkoleniem nauczycieli historii. Właśnie w obszarze szkolnej edukacji historycznej, w której wciąż marginalizuje się znaczenie naszych dzieł najnowszych, IPN ma szczególnie dużo do zrobienia.

Obecnie IPN potrzebuje przede wszystkim spokoju. Nie potrzeba nam sensacji w mediach wokół teczek tej czy innej osoby, ale rzetelnych informacji na temat naszych książek oraz wystaw, które – jak "Twarze bezpieki" – spotykają się z dużym rezonansem społecznym.